

Hrabyk, Klaudiusz

Wspomnienia : część II

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 9/3, 417-441

1970

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KLAUDIUSZ HRABYK

WSPOMNIENIA

Kolejny fragment *Wspomnień* Klaudiusza Hrabyka (pierwszą ich część ogłosiliśmy w zeszycie 3 tomu VIII „Rocznika”) obejmuje rozdział o pracy dziennikarskiej autora na Górnym Śląsku (lata 1925—1926), ponownej, krótkiej w Krakowie (rok 1926) i początek rozdziału o okresie lwowskim (1926—1937).

Redakcja

[...] z Górnym Śląskiem zetknąłem się po raz pierwszy w r. 1921, przebywając wówczas w szeregach powstańczych, ale okoliczności towarzyszące temu pobytowi pozwoliły zaledwie na obserwacje bardzo powierzchowne. Mój udział w powstaniu był krótki, bo zaledwie trzytygodniowy. W warunkach powstańczych nie stykałem się często z ludnością górnośląską izolowany w sztabie Grupy Północnej [...]

[...] Środowisko na Górnym Śląsku posiadało szczególny dla mnie charakter. Zetknąłem się tam z Edwardem Rybarzem, naczelnym redaktorem „Gońca Śląskiego” i posłem na sejm śląski. Rybarz był synem górnika, urodzonym i typowym Górnoślązakiem, który za młodu mówił po niemiecku i wprowadził się w język polski dopiero w latach młodzieńczych. Był gorącym patriotą polskim i zdecydowanym wrogiem niemieczyzny. Za młodu należał do ruchu „elsów” propagowanego przez Wincentego Lutosławskiego. Stanisław Pigoń w swoich wspomnieniach, poświęcając znaczny ich fragment organizacji „Eleusis”, notuje, że w latach 1906—1907 Wincenty Lutosławski urządził dla zdolnych i ochotnych chłopców ze sfer górniczych na Górnym Śląsku rodzaj internatu w lokalu „Eleusis” w Krakowie, gdzie poddał ich dyscyplinie zorganizowanego współżycia i nauczania. Do pomocy pociągnął studentów uniwersyteckich, wśród których znajdował się wtedy także S. Pigoń. Potem studenci kierowali tym kursem samodzielnie. Inicjatywa śląska Lutosławskiego pozostawała w związku z procesem górnośląskiej „Iskry” w latach 1904 i 1905, w którym sądy niemieckie skazały górników za akcję polską. Uczniów na kursie „Eleusis” w latach 1906—1907 było zaledwie pięciu. Uczono ich rachunków, języka i historii polskiej. Lutosławski

przerabiał z nimi elementarny kurs logiki. Osobny przedmiot stanowiła egzegeza poezji romantycznej. Jednym z członków tego właśnie kursu — jak stwierdza Pigoń — był Edward Rybarz, który uczestniczył w nim wspólnie z Janem Przybyłą. Obaj byli już poprzednio podkształceni przez pierwszych elsów i stali się — wedle świadectwa Pigionia — wybitnymi i zasłużonymi działaczami i publicystami na Górnym Śląsku. Z oboma zetknąłem się w Katowicach, a z Rybarzem nie tylko ściśle współpracowałem, ale zaprzyjaźniłem się z nim [...].

[...] Szkoła Wincentego Lutosławskiego pozostawiła wyraźne ślady w psychice i postawie Rybarza, który odznaczał się dużym idealizmem i sprawy ludzkie oceniał nieraz z punktu nie zawsze zgodnego z prawami rzeczywistości. „Goniec Śląski” był formalnie organem endeckim, ale jego redaktor chodził własnymi drogami. Z przekonania i usposobienia był radykałem społecznym. Za bazę własnego stosunku do zagadnień polityczno-społecznych uznawał interesy robotników i posiadał dużo sympatii dla socjalizmu. Był zaprzysiężonym wrogiem obcego kapitału na Górnym Śląsku i zdecydowanym przeciwnikiem dyrektorów wielkiego przemysłu, którzy — jego słusznym zdaniem — stanowili ślepe narzędzie kapitalistów wyzyskujących śląskiego górnika. Ze szczególną zawziętością zwalczał wysokie wynagrodzenia dyrektorów i niewymierne zyski koncernów węglowych oraz wielkich kapitalistów, przeciwstawiając im niskie wynagrodzenia górników.

„Goniec Śląski” służył poglądom swojego redaktora, który potrafił przekonać do nich grono swoich współpracowników. Byliśmy wszyscy w redakcji solidarni z Rybarzem w walce przeciw wielkiemu przemysłowi i w obronie robotników. Rybarz za największego dywersanta w stosunku do górników śląskich uważał wówczas Wojciecha Korfante-fo, nazywając go zdrajcą sprawy górniczej i piętnując za jego koneksje z wielkim kapitałem.

Korfanty w tym okresie wydawał dziennik „Polonia”, który na stosunki śląskie był pismem dużym i zamożnym, ale ogłoszenia wykazywały, że jego wydawca korzysta obficie z inseratów, a więc z funduszków wielkiego przemysłu niemieckiego. Dla Rybarza, podobnie jak dla wielu innych Ślązaków, powiązania Korfante-fo z Niemcami oznaczały zaprzeczenie nie tylko dawnej postawy przywódcy górnośląskiego w jego walce z niemczyzną i w obronie praw polskich na Śląsku, ale ujawniały niepojęty cynizm Korfante-fo, który z dawnej pozycji antyniemieckiej znalazł się w sytuacji, jeśli nie jawnego, to zakamuflowanego sojusznika niemieckich kapitalistów, ochraniającego wyzysk stosowany przez nich wobec polskiego robotnika. Sprawa nabrała ogólnopolskiego rozgłosu i znalazła echo nie tylko w prasie, ale również na forum parlamentarnym w Sejmie. Poseł Karol Popiel z Narodowej Partii Robotniczej pod-

niósł zarzuty przeciw Korfantomu w sprawie jego stosunków z „baronami węglowymi” na Górnym Śląsku. Zwołany został sąd marszałkowski, w którym Korfanty uruchomił wszystkie swoje wpływy, aby oczyścić się z zarzutów.

Po przybyciu do Katowic włączyłem się niebawem do akcji przeciw Korfantomu, zachęcony do tego przez Rybarza, z którym nawiązałem rychło bliskie i przyjacielskie stosunki. Spędzaliśmy długie, nieraz nocne godziny na niekończących się rozmowach, w których Rybarz z ołówkiem w rękę wyliczał mi w różnych wariantach dochody niemieckich przemysłowców i ich dyrektorów, faktyczne koszty wydobywania węgla i głodowe płace górników. Był w tym zagadnieniu zorientowany do najmniejszych szczegółów. A równocześnie niezmordowany w uzasadnianiu tego tematu i w zaznajamianiu z nim swoich najbliższych współpracowników.

Na Górnym Śląsku było w tym czasie 60 000 bezrobotnych zwolnionych z kopalń, hut i fabryk. W pięciu koncernach przemysłu górnośląskiego było natomiast zajętych stu dyrektorów, względnie wyższych urzędników, w tym znaczna liczba Niemców, z płacami od 6000 do 60 000 zł miesięcznie. Przeciętna płaca tej grupy wynosiła 15 000 zł miesięcznie, co w porównaniu z niskimi płacami robotników i beznadziejnym losem bezrobotnych stanowiło olbrzymią i oburzącą dysproporcję. W samych Tarnowskich Górach zarejestrowano wówczas, z końcem sierpnia 1925 r., 2587 bezrobotnych. Sytuacja stała się groźna. Niemcy rozwijali skuteczną akcję antypolską, przeciągając robotników z polskiego Górnego Śląska na swój teren i dając im tam pracę. Szkoły polskie na Górnym Śląsku zaczęły pustoszeć, ponieważ zapisywano dzieci do szkół niemieckich, aby za tę cenę uzyskać zajęcie po stronie niemieckiej.

Zagadnienie to w krótkim czasie stało się moją pasją. Rozpisaliśmy z Rybarzem ankietę publiczną wśród bezrobotnych, drukując dziesiątki listów z nadchodzących setek i komentując je w naszych uwagach redakcyjnych. Wspólnie z Rybarzem, a także samodzielnie jeździłem na wiece robotnicze, wszędzie atakując Korfante i jego niedwuznaczną rolę wobec robotnika górnośląskiego jako ofiary nieludzkiego wyzysku potentatów niemieckich. Akcja nasza uzyskała duży rozgłos i popularność i przybrała gwałtowne formy. Rybarz darzył mnie ogromnym zaufaniem, prawdopodobnie doceniając zapal, z jakim uczestniczyłem w podjętej przez niego kampanii przeciw Korfantomu, przemysłowi niemieckiemu i jego polskiemu zausznikom.

Znajdowaliśmy w tej akcji ciche poparcie i sympatie Józefa Kiedronia, zajmującego w przemyśle górnośląskim wysokie stanowisko kierownicze. Kiedroń był synem chłopca z Dolnych Datyń i w swojej karierze doszedł do najwyższych szczebli, dzięki wybitnym zdolnościom i uporo-

wi. Był w życiu kolejno subiektem, potem górnikiem w kopalni, następnie ukończył Akademię Górniczą w Leoben, gdzie uzyskał stopień inżyniera, po czym zajął wysokie stanowisko w przemyśle górnośląskim, aż w końcu został ministrem przemysłu i handlu. Spokrewniony z Grabskimi był zwolennikiem endecji. Kiedroń przeciwstawiał się w różny sposób wpływom obcego kapitału w przemyśle węglowym i jak na jego stanowisko i koneksje reprezentował poglądy względnie postępowe w stosunku do postulatów świata pracy.

Rozwijając akcję przeciw Korfantemu podjąłem równolegle zdecydowaną i ostrą kampanię prasową przeciw „Polonii”, ale przede wszystkim przeciw głównemu rzecznikowi spraw gospodarczych w tym dzienniku Leonowi Fallowi. Odgrywał on, jak mówiono, rolę łącznika pomiędzy Korfantem a jego niemieckimi protektorami. Już w końcu października, w dwa miesiące po moim przybyciu do Katowic, zarząd chadecji w Katowicach podjął uchwałę w sprawie wystąpień „Gońca” przeciw Korfantemu uznając, że „najlepszą odpowiedzią” będzie dalsza praca całego „jednomyślnego koła”. Sprawa odbiła się echem w chadecji krakowskiej, gdzie „Głos Narodu” napisał, że skoro atakujemy Korfantego, nie powinniśmy kierować ostrza przeciw całej chadecji. Nasza kampania wprowadziła zamieszanie w szeregach zwolenników Korfantego. Różne organizacje, szczególnie powstańców górnośląskich, podlegające dotąd wpływom Korfantego, zaczęły przeciw niemu podejmować stanowcze uchwały.

Wobec wzrastającego nasilenia tej walki zainteresowały się sprawą naczelne czynniki partii.

Zostałem przez władze partii na Górnym Śląsku delegowany do poselskiego Klubu Związku Ludowo-Narodowego w Warszawie i stawilem się przed pełnym klubem partyjnym jako rzecznik naszej śląskiej kampanii. Forum, przed którym miałem referować sprawę, składało się w tym dniu z kilkudziesięciu posłów, wśród których nie brakowało wybitnych specjalistów, ekonomistów i czołowych polityków. Przewodniczył prezes klubu Stanisław Głabiński, jeden z największych w tym czasie autorytetów partii. Referat 23-letniego dziennikarza, występującego przed posłami największego klubu sejmowego w roli prokuratora tego wymiaru postaci, jak Korfanty, łącznie z odpowiedziami na skierowane do mnie pytania, trwał nie krócej niż godzinę. Występ ten stał się dla mnie ogromnym przeżyciem. Po raz pierwszy przyszło mi stanąć przed tak wysokim zgromadzeniem i ponosić przed nim odpowiedzialność za wypowiedzane sądy i opinie.

W krótki czas po powrocie do Katowic „Polonia” zamieściła na pierwszej stronie obszerny artykuł pt. *Kiedy Związek Ludowo-Narodowy zabierze Klaudiusza Hrabyka ze Śląska?* Takie wyróżnienie przez organ

przeciwnika podwoiło moją energię. Ale równocześnie podjęli akcję również Niemcy na łamach „Kattowitzer Zeitung”, rozwijając kampanię równoległą z atakami „Polonii”.

Wpływy Korfantego sięgnęły jednak w końcu do mojego własnego środowiska. Na Śląsku była wprawdzie czynna partia w postaci Związku Ludowo-Narodowego, ale przedstawiała niesłychanie nikłą siłę, ponieważ dominujący czynnik stanowiła chadecja. Endecja na Górnym Śląsku nie posiadała niemal żadnych wpływów. Na szczęblu organizacji miejskiej w Katowicach przewodził jej prezes sądu okręgowego Adam Zechenter, starszy, typowy, wyniosły biurokrata, przybyły spoza Śląska i nie posiadający ze społeczeństwem górnośląskim i jego życiem społecznym żadnego kontaktu. Nie cieszyłem się sympatią prezesa partii w Katowicach i było wiadomo, że nie podziela on stanowiska ani Rybarza, ani „Gońca Śląskiego” w sprawie Korfantego. Rybarz, jako prezes okręgowych władz partii, nie utrzymywał z Zechenterem stosunków i działał bez żadnego z nim porozumienia.

Pewnego dnia podczas obiadu, który spożywałem w restauracji wspólnie z żoną i jednym z kolegów redakcyjnych, podszedł do stolika Leon Fall i usiłował mnie z tyłu uderzyć. Towarzyszący mi kolega redakcyjny Gertig, odznaczający się dużą siłą, przeszkodził zamiarom Falla i pobił go na sali, niemniej uznaliśmy, że Fall usiłował obrazić mnie w miejscu publicznym, wobec czego — zgodnie z obowiązującymi wówczas zwyczajami — należało mu posłać sekundantów. Uczyniłem zadość temu wymaganiu, zwracając się m.in. o zastępstwo do Bieleckiego w Krakowie.

Tego samego lub następnego dnia prezydium zarządu partii w Katowicach, na wniosek Zechentera, podjęło uchwałę stwierdzającą, że nie popiera kampanii prowadzonej przez Rybarza i przeze mnie przeciw Korfantemu. Uchwała nie posiadała wprawdzie żadnego praktycznego znaczenia i nie miała wpływu na stanowisko pisma, ale uznałem, że jako członek Ligi Narodowej nie mogę uchwały pozostawić bez odpowiedzi. Postanowiłem, jak się okazało lekkomyślnie, wzmocnić swoją pozycję przez podanie się do dymisji i uzyskanie następnie wotum ufności ze strony wydawnictwa, co wystarczyłoby do zwolnienia mnie od poddawania się naciskowi Zechentera, nie posiadającego w piśmie żadnego wpływu. Pomyliłem się jednak w tym obliczeniu i pomyłki dopuścił się również Rybarz, z którym ustaliłem moją decyzję.

Dymisję — wbrew protestom i stanowisku Rybarza — wydawcy, z sen. J. Kowalczykiem na czele, przyjęli i w ten sposób z dnia na dzień znalazłem się nagle poza piśmem i bez pracy. Korfanty dopadł mnie zatem w moich własnych szeregach i wprawdzie nie unieszkodliwił na razie „Gońca Śląskiego”, ale wyeliminował z niego jednego z najbardziej

agresywnych swoich przeciwników. Zechenter i Kowalczyk, zresztą Ślązak, okazali się zakamuflowanymi sojusznikami Korfatego i jego kontrahentów reprezentujących niemiecki kapitał w przemyśle górnośląskim. O ile wiem, „Goniec Śląski” przestał być wkrótce groźny dla wydawcy katowickiej „Polonii”. Mój okres górnośląski został jednak zamknięty. W dniu, w którym opuszczałem Katowice, w „Kattowitzer Zeitung” ukazał się wstępny artykuł pt. *Klaudiusz Hrabek*, w którym dziennik hakatystów z satysfakcją notował i kwitował zakończenie mojej kariery na Górnym Śląsku.

Zostałem serdecznie pożegnany przez grono oddanych przyjaciół redakcyjnych. Z żadnym z nich jednak nie wznowiłem już nigdy współpracy.

Było ich — poza Rybarzem — kilku. Redakcja nie była wielka, ale tworzyliśmy zwarty zespół dzięki wielkim walorom osobistym Rybarza. Nie szczędził on wysiłków, aby stworzyć z nas solidarną i świadomą grupę oddaną walce o słuszną sprawę. Należał do naszego grona Stanisław Tabaczyński, kolega wielkich zalet, prawego charakteru i uczciwości dziennikarskiej. Był zmanierowany Jan Procter, dobrze zresztą zapowiadający się dziennikarz, a nawet pisarz, autor niezłej powieści *Doktor Ryszard Gonzaga*, recenzent teatralny „Gońca Śląskiego”, niestety w późniejszych latach zmarnowany już w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” w Krakowie. Przyjaźniłem się w tym czasie także ze Zdzisławem Gertigiem, młodym uzdolnionym Ślązakiem. Było ponadto dwu lub trzech innych współpracowników starszych, rodowitych Ślązaków. Pamiętam wśród nich Hartmanna. Myśmy wśród nich stanowili grupę młokosów, na których spoglądano bez wielkiego zaufania jako na przyszłów [...]

[...] Do naszego grona należał czynny, wspomniany już działacz śląski Jan Przybyła, redaktor „Górnoślązaka” i „Powstańca”; zginął później w Oświęcimiu z rąk hitlerowskich. Zaliczał się do naszej grupy również Władysław Lipczyński, późniejszy szwagier obu Tabaczyńskich, ówczesny kierownik Oddziału Polskiej Agencji Telegraficznej w Katowicach, w którego mieszkaniu urządzaliśmy spotkania towarzyskie odbywane na poduszkach rozłożonych na podłodze. Włóczyliśmy się wspólną gromadą po katowickich restauracjach i kawiarniach.

Ale większość spotkań odbywała się w domu Rybarzów, gdzie podejmowała nas uroczą i zawsze gościnna żona naszego redaktora. Rybarz stał wtedy na czele Syndykatu Dziennikarzy Śląskich, co — pomimo rozległych wpływów Korfatego — świadczyło o jego popularności w tym środowisku. Funkcję wiceprezesa Syndykatu pełnił w tym czasie poseł Pronobis, redaktor „Polaka”, sekretarzował Bednarz z PAT, skarbnikiem był Kopczyński z „Gazety Ludowej”, a członkiem zarządu Sta-

niek z „Gazety Robotniczej”, organu PPS. Następnym prezesem Syndykatu śląskiego został wybrany przy naszym poparciu redaktor „Gazety Robotniczej” Henryk Sławik, zamordowany w czasie drugiej wojny w obozie w Mauthausen. Z nim również łączyły nas bliskie stosunki we współpracy zawodowej. Pracownicy Korfantego nie posiadali we władzach organizacji dziennikarskiej swojego przedstawiciela, nie należąc do niej ze względu na wrogi stosunek dziennikarzy śląskich do wydawcy tego pisma.

W domu Rybarzów poznałem popularnego Ligonía, „Karliczka”, który przyjaźnił się blisko z naszym redaktorem i jego żoną. Spotykałem go tam często i Ligoń darzył mnie miłą i cenną dla mnie sympatią.

Rybarz w kilka lat później, po upadku „Gońca”, został burmistrzem Siemianowic i tam bodaj w pierwszym dniu drugiej wojny zginął z rąk oprawców hitlerowskich. Zachowałem o nim najlepsze i najbardziej serdeczne wspomnienie. Był to człowiek wielkich zalet, wyzuty z wszelkiego oportunistu, idealista i nieugięty Polak, człowiek uczynny i ofiarny, zawiedziony w swoich nadziejach, a zbyt uczciwy, aby ugiąć się pod naporem zła ludzkiego. Nie pozwoliło mu to odegrać większej roli, aczkolwiek na nią na pewno zasługiwał.

Wydawnictwo „Gońca Śląskiego” posiadało własną drukarnię, ale upłynęło sporo czasu, zanim w warunkach górnośląskich przyzwyczailem się w niej do nowego systemu pracy. Zecerzy składający numer przy maszynkach zaopatrzeni byli w koszyki z kuflami piwa, stale dopełnianymi, co — w moim pojęciu — kolidowało z normalnymi warunkami sprzyjającymi skupionej pracy, szczególnie w nocnej porze. Usiłowałem zmienić ten zwyczaj, ale musiałem ulec. Tradycja koszyków z kuflami piwa przy zecerach była silniejsza niż moje niewczesne, galicyjskie zamysły nowatorskie. Zapoznałem się też wtedy również po raz pierwszy z zupełnie odmiennym niż w Małopolsce systemem kolportażu pisma wśród prenumeratorów. Administracja posiadała kontakt tylko z pośrednikami, którzy pismo doręczali do odbiorców tylko im wyłącznie znanych. Dziennik nie posiadał wykazu własnych prenumeratorów. Takie i inne różnice wskazywały na odmienny styl życia w porównaniu z innymi częściami kraju.

Na Śląsku w tym czasie czynny był jeszcze ruch „niezależnych” Górnoślązaków kierowany przez Kustosa, a podtrzymywany przez Niemców jako dywersja przeciw Polsce. Grupa ta posiadała nawet własny organ prasowy i propagowała postulat utworzenia „państwa górnośląskiego”. Z tej także strony podjęto przeciw mnie szeptaną propagandę polegającą na rozpowszechnianiu informacji wśród Górnoślązaków, ale szczególnie Górnoślazaczek, że moja żona — zresztą świeżo poślubio-

na — a przebywająca ze mną w Katowicach, nie jest moją żoną ślubną. Ten zarzut należał bowiem na Górnym Śląsku do najcięższych.

Z Katowic powróciłem do Krakowa, ale już w zupełnie innym charakterze, aniżeli go opuszczałem. Byłem bezrobotny i nie posiadałem żadnej pozycji organizacyjnej, poza tytułami zasługi z poprzednich lat. Znajdowałem się poza wszelkim wpływem na organizację młodzieży, od której odszedłem i nie będąc już studentem nie miałem nawet formalnych tytułów do uczestniczenia w życiu młodzieży. Ze starszymi członkami partii nie miałem zbyt rozległych stosunków. W okresie stosunkowo niedługiej mojej nieobecności w Krakowie pozycję lidera zajął Bielecki, a raczej już grupa jego ludzi z młodszych roczników [...]

[...] Znajdowałem się ponadto w krytycznej sytuacji osobistej, ponieważ będąc bez pracy i zarobków, praktycznie na utrzymaniu rodziców, spodziewałem się w najbliższym czasie krytycznego momentu u mojej żony, która oczekiwała dziecka. W lipcu 1926 r. urodził się nam syn Maciej. Na razie rozstaliśmy się: żona pozostała u swoich rodziców w Ustrzykach Dolnych, a ja zatrzymałem się u moich w Krakowie. Na krakowskim gruncie nie posiadałem żadnych szans uzyskania pracy. Z „Głosem Narodu”, organem chadecji, byłem po okresie śląskim w najgorszych stosunkach. Mój ojciec sugerował mi starania o współpracę z „IKC”, ale ze względów zasadniczych odrzuciłem te projekty. Poczyłem, jak na razie, bezowocne starania o nowe zajęcie w prasie partyjnej poza Krakowem. Sytuację komplikował fakt, że wskutek moich nieustannych zajęć w życiu politycznym i zawodowym, uzyskałem wprawdzie absolutorium z wydziału filozofii, ale nie skończyłem studiów, nie zdając egzaminu doktorskiego, który studia te miał ukoronować. Napisałem już poprzednio pracę wymaganą do tego egzaminu, ale pozostawały tzw. rygoroza ustne.

W pierwszej połowie maja wyjechałem do żony, która przebywała nadal w Ustrzykach Dolnych, i tam przeżyłem przewrót majowy [...]

[...] Nazajutrz po zakończeniu przewrotu wróciłem do Krakowa i przerywając bezczynność podjąłem natychmiast inicjatywę prasową. Kraków znajdował się bez dziennika, a choćby tygodnika partyjnego i oczywiście nie powinno to być obojętne kierownictwu partii. Na własną rękę, nie oczekując na decyzję i zgodę partii, przystąpiłem do zorganizowania wydawnictwa. Jego dalsze losy pozostawiałem na razie nieznaney przyszłości. Uruchomiłem nieduże pieniądze, zebrane wśród pojedynczych osób aprobujących mój projekt i już w dniu 6 czerwca wydałem pierwszy numer „Trybuny Narodu” [...]

[...] W świeżo wydanym tygodniku krakowskim figurowałem jako wydawca. Redaktorem odpowiedzialnym został Felicjan Gadomski, o którym dzisiaj, niestety, nie umiałbym wiele powiedzieć, ponieważ

nawet go dobrze nie pamiętam. Nowe pismo redagowałem od pierwszej do ostatniej strony, zabiegając o współpracę różnych wybitniejszych piórkrakowskich. W pierwszym numerze umieścili artykuły Karol Hubert Rostworowski, Władysław Konopczyński, Tadeusz Bielecki, w dalszych pisali m. in. Wacław Sobieski, Władysław Świrski, Stanisław Rymar, Władysław Folkierski, Edward Ligocki, Maria Dynowska, Jan Matyasik. Artykuł wstępny mojego pisma w pierwszym numerze został w większości skonfiskowany, podobnie jak dwa dalsze moje artykuły w tym samym numerze.

W artykule wstępnym pt. *Na naszej trybunie* pisałem: „Organ nasz jest potrzebą historyczną chwili. W społeczeństwie polskim, w jego znakomitej większości nie tylko ilościowej, ale przede wszystkim jakościowej, krystalizuje się wielki obóz. Startem jego jest walka o Polskę. Okazało się bowiem po majowym rokoszu, że o wielką, prawdziwie naszą Polskę trzeba właściwie dopiero walczyć i wśród ciężkiej walki budować ją. Zetrzeć się będzie trzeba z najstraszniejszym wrogiem, z duchem buntu i rokoszu. To, o czym słyszeliśmy z obozu „sanacji” w maju, jest potwornym kłamstwem i oszustwem. Nie mówimy o tym, który stał się symbolem rokoszu. On winien jest na razie przed historią krwi niewinnie przelanej. Ci, którzy jednak z nim przyszli — to pospolite gryzonie, niemoralne, chciwe, zażarte, zgłodniałe, agresywne, które będą teraz Polskę szarpać i krajać po kawałeczku. Polska ma tysiąc lat za sobą. Miała w historii Modrzewskiego, Skargę, Staszica, nie będzie jej poniżał defraudant Ehrenberg. Miała Chrobrego — nie będzie bezkarnie krwawił jej Piłsudski. Obronimy Polskę. Nie damy jej zginąć marnie przy dźwiękach pierwszobrygadowego marszu *Die blauen Husaren*”.

W jednym z następnych numerów stwierdziłem, że „Trybuna” stała się „organem całej Polski, bo — jak świadczą spisy naszych prenumeratorów — »Trybunę« czyta społeczeństwo polskie zarówno na Pomorzu, jak w Wilnie, w Poznańskim i na Wołyniu, w całej Małopolsce, w województwach Polski środkowej i na Śląsku. Dwa ostatnie numery zdobyły tak ogromną popularność naszemu pismu, że mogliśmy w przeciągu zaledwie pierwszych trzech tygodni podwoić nakład »Trybuny«”.

Pierwszy nakład wynosił dwa tysiące egzemplarzy. Pismo uzyskało rzeczywiście znaczne poparcie i jego rozwój zapowiadał się pomyślnie. Wzorowałem jego styl i szatę zewnętrzną na „Myśli Niepodległej” Niemcewskiego. „Trybuna” była bojowa, stanowcza i zajęła radykalnie opozycyjne stanowisko wobec nowego, pomajowego porządku. Konfiskaty i naciski wzmacniały jej poczytność i popularność. Ale nie miałem należytych kapitałów, aby prowadzić je samodzielnie. Pracowałem bezinteresownie jako jedyny redaktor, administrator i ekspedient. Do tej ostatniej funkcji zaprząłem również młodszego brata Mieczysława.

Wzmagający się wpływ tygodnika zaczął niebawem niepokoić moich krakowskich przyjaciół, przede wszystkim starszych. Dawałem im zresztą do tego niedwuznaczne powody.

„Uderzmy się jednak i my w piersi” — pisałem w numerze lipcowym „Trybuny”. — „Obóz narodowy, a raczej jego przywódcy, także nie zrozumieli różnicy w organizacji życia politycznego przed i po uzyskaniu niepodległości. Stworzyliśmy wielki obóz — to prawda. Przez cały czas tworzyliśmy istotnie zwartą siłę. Prasa narodowa imponowała jednomyślnością. Prawdziwy lewiatan prasowy zgodnym chórem pochwalał tę lub ową taktkę klubu sejmowego, ten lub ów sojusz, tamto lub owo wystąpienie. A z lewiatanem co najmniej z 10 milionów ludzi powtarzało to samo, ale że z owych 10 milionów spory procent nie wie dzisiaj co robić — tego nie trzeba ukrywać. I dlatego nowi ludzie, którzy przyjdą na czoło obozu narodowego i otrzymają zadanie jego przebudowy, przede wszystkim muszą wpuścić dużo świeżego powietrza niezależności do obozu. Nie jest on dziś noworodkiem, aby go trzymać w powijakach. Co było dobre w r. 1904 czy nawet w r. 1910 nie jest odpowiednie w r. 1926. Tradycja i dojrzałość obozu pozwala, aby myślało w nim nie 102 ludzi z klubu poselskiego, ale tylu, ilu jest członków i sympatyków w obozie. Organy prasy narodowej nie mają być tylko organami polityki parlamentarnej, ale także polityki społeczeństwa i opinii, która ma być rozumnym uzupełnieniem pierwszej”. Te agresywne uwagi zaopatrzyłem tytułem: *O niezależność opinii i prasy narodowej*.

Były one skierowane przeciw supremacji posłów klubu endeckiego, którzy nie tylko sprawowali faktyczne przywództwo obozu narzucając mu własne stanowisko, jako obowiązującą linię całej partii, ale identyfikowali również siebie z obozem. Mandat poselski dla pewnego typu ludzi stanowił synekurę zabezpieczoną wpływami posła w klanach partyjnych wyznaczających i ustanawiających prawo do reprezentowania miarodajnej wykładni politycznej. W zespole poselskim, obejmującym wtedy ponad stu ludzi, znajdowali się „zawodowi” posłowie, przechodzący z kadencji na kadencję do kolejnych sejmów, pomimo że nie wszyscy z nich przedstawiali sobą konstruktywną i głębszą wartość jako politycy czy również jako fachowcy [...]

[...] Mój artykuł w „Trybunie Narodu” był na tym tle wyrazem nastrojów i reakcji wśród młodszych żywiołów partii, otwarcie oskarżających jej kierownictwo o karygodne zaniedbania, które ułatwiły sytuację Piłsudskiemu i doprowadziły do przewrotu majowego. Żądałem w „Trybunie” zmiany w kierownictwie i w całej partii nie w imię własnych, urojonych postulatów. Wyrażałem, a raczej odważyłem się wyrazić problemy, które nurtowały powszechnie całe młode pokolenie partyjne, terroryzowane i lekceważone dotąd przez starych. Mój występ mógł więc

zaniepokoić dotychczasowych dysponentów obozu, tym bardziej że był rozpowszechniony na łamach coraz bardziej poczytnego pisma.

„To jest największym zwycięstwem obozu narodowego — napisałem w innym numerze lipcowym mojego tygodnika — że młodzież dzisiejsza należy do nacjonalizmu. Śmiało można powiedzieć, że innej młodzieży w poważniejszym skupieniu — poza nacjonalistycznym, poza wszechpolską — nie ma. Z jej szeregów wybiegły już na front bojowy dziesiątki i setki. One obejmą komendę. I one odrodzą obóz narodowy, a z nim Polskę. Jest już czas — dodałem w konkluzji — aby ta rezerwa sił bojowych dała się wyczuć w życiu narodu”.

Tytuł tego zuchwałego wyzwania pod adresem starej gwardii partyjnej brzmiał: *O przemianę w obozie narodowym*. Tendencje moich wystąpień posiadały aż nadto wyraźną i przejrzystą wymowę, aby nie mogły zwrócić uwagi atakowanych. Wprawdzie nie zajmowałem aktualnie żadnego stanowiska ani wśród młodzieży, ani w partii, ale iskry, które rzucałem mogły — zdaniem „starych” — wzniecić nieprzewidziane ognie, tym bardziej że sytuacja przemawiała przeciw dotychczasowemu kierownictwu obozu na rzecz głosów za radykalną reformą w szeregach owładniętych niemocą i bezwładem. Moi krakowscy starsi przyjaciele pamiętali zapal i zawziętość, jaką wykazałem przed kilku laty w akcji zdobywania twierdzy konserwatystów i piłsudczyków, tj. uniwersytetu krakowskiego i trudno było odgadnąć, czy ten obiecujący młodzieniec nie wyzwoli swojej energii również w dziele obalenia reżymu starej gwardii bodaj w krakowskim środowisku. Nie miałem takich zamiarów, ponieważ paliła mnie raczej pasja tylko propagandowa nawołująca do obalenia niedołężnych ramolów.

„Trybuna Narodu» — pisałem w sierpniu przed zawieszeniem pisma — stała się organem, na którym po raz pierwszy pokolenie młodych publicystów narodowych wybiło swoje wyraźne piętno”. A w innym miejscu dodałem: „W obozie narodowym musi nastąpić nowy dobór ludzi. Po prostu wymiana pokolenia”.

Takie plany i taka buntownicza zapowiedź nie mogły pozostać bezkarne. Nie pomogło moje stanowcze stanowisko wobec rokoszu majowego. „Nie grozić batem — pisałem w jednym z numerów »Trybuny« pod adresem pogróżek Piłsudskiego — Nikt się bata nie przestraszy. My też mamy swoje baty. Bat niech się batem odśwista”.

Pod pozorem reorganizacji redakcyjnej i administracyjnej, korzystając z przerwy wakacyjnej, „Trybunę Narodu” z powodu braku funduszków musiałem zawiesić na okres miesiąca. Ale po wakacjach pismo już nie wyszło. W tym czasie — podobnie jak niedawno do Katowic — zostałem zaproszony nagle do współpracy w „Słowie Polskim” we Lwowie i opuściłem Kraków. „Trybuna Narodu” została znacznie później wzno-

wiona, ale było to już zupełnie inne pismo, pozbawione wszelkiego wpływu, a przede wszystkim przestało być organem młodych buntowników. Zamieniono je na nudny, wewnętrzny komunikat krakowskiego oddziału partii, aby w końcu go zlikwidować.

W ten sposób ostatecznie zamknąłem okres krakowski, wchodząc już po raz drugi w wyraźny zatarg z kierownictwem partii. „Trybuna” stała się w nim ostatnim akcentem w Krakowie, ale nie popartym z mojej strony akcją typu organizacyjnego, w której w tym czasie nie uczestniczyłem [...]

[...] W sprawę wkroczyła krakowska Liga Narodowa i z jej ramienia objął wznowioną „Trybunę Narodu” bodaj Karol Hubert Rostworowski, pod którego kierunkiem pismo dokończyło żywota [...]

[...] Do Lwowa przybyłem 1 września 1926 r. zaangażowany do redakcji „Słowa Polskiego”, które w tym czasie było najpoważniejszym dziennikiem lwowskim wywierającym największy wpływ na tamtejsze społeczeństwo polskie. Do Lwowa wezwał mnie Władysław Świrski. Redaktorem naczelnym pisma pozostawał formalnie Stanisław Grabski, który nie sprawował jednak swoich obowiązków w redakcji. Powołany przed majem na stanowisko ministra oświaty, nie wrócił do „Słowa” po zamachu majowym i kierował redakcją zastępca redaktora naczelnego Roman Kordys, zapisany raczej jako taternik aniżeli dziennikarz. W taternictwie posiadał poważną i zasłużoną pozycję. Był założycielem Karpackiego Towarzystwa Narciarzy i redaktorem czasopisma „Taternik”, osiągając w tych dziedzinach wiele cennych i wybitnych zasług. W dziennikarstwie, a szczególnie w „Słowie Polskim”, pełnił rolę bardziej organizatora i technika. Strona polityczna pisma nie znajdowała z jego strony szczególnego zainteresowania. Była pozostawiona grupie skupionej wokół pisma, której głównymi rzecznikami stali się Wacław Mejbaum i Stefan Mękowski, a w okresie mego przyjazdu do Lwowa dopuszczony został do głosu także Zdzisław Stahl, ale z innego tytułu aniżeli dwaj pierwsi publicyści. Obaj reprezentowali grono założycieli tzw. „Zespołu Stu”, formacji, której rola należy do okresu nieco późniejszego. Natomiast Zdzisław Stahl reprezentował tworzący się właśnie Obóz Wielkiej Polski.

Kordys podjął próbę ożywienia pisma. Zdradzało ono niepokojące symptomy zwięzania swoich wpływów. Ponieważ przypisywano to zastygłej metodzie redagowania dziennika, zbyt mało unowocześnionego, tendencje Kordysa skupiły się wokół zreformowania jego łam. W tym planie należałem do współpracowników, których Kordys wytypował do szczególnego zadania. Moim obowiązkiem było dostarczanie pismu różnego rodzaju wywiadów z wybitnymi osobistościami, miałem się również zajmować głośniejszymi wydarzeniami typu politycznego na gruncie

lwowskim, a ponadto wykonywać prace sprawozdawcy w zakresie różnych zagadnień natury społeczno-politycznej. Otrzymałem w tych sprawach szeroką autonomię i znaczną inicjatywę. Kordys był człowiekiem bardzo sumiennym i dokładnym aż do granic przesadnej pedanterii i dbał troskliwie o poziom pisma, umiejętnie realizując swoje zamierzenia. Rozumiał tajemnice powodzenia dziennika i porozumienie z nim na tej platformie nie było trudne. Zastępca redaktora naczelnego był szczególnie czuły także na punkcie poziomu swoich współpracowników; jako minimum w tej dziedzinie wymagany był cenzus doktora. Dotyczyło to w każdym razie czołówki pisma. Miałem z tym pewne kłopoty, ponieważ w tym czasie — jak już wspomniałem — nie zdążyłem jeszcze dojść do tego szczybla naukowego, o co Kordys miał w stosunku do mnie wyraźne pretensje.

Zespół politycznych publicystów pisma praktycznie terroryzował Kordysa, narzucając mu swoją linię i w tych sprawach zastępca redaktora naczelnego okazywał się bezwolny. Gorzko zresztą za to po jakimś czasie zapłacił.

Wacław Mejbaum, z zawodu profesor gimnazjalny, uchodził za ideologa, który pozostając w opozycji do dotychczasowego kierunku partii, a również Dmowskiego, usiłował formułować własny program. Jeżeli wartość koncepcji politycznej mierzyć jej praktycznymi rezultatami, to koncepcje Mejbauma i skupionych przy nim towarzyszy nie wyszły poza rogiatki lwowskie, a w rzeczywistości nawet nie poza cztery ściany małego pokoju redakcyjnego „Słowa Polskiego”, w którym Mejbaum i Mękarski podczas niekończących się dyskusji ustalali plany i wypowiedzi polityczne. Obaj byli ludźmi o wyjątkowo mętnej umysłowości, która prowadziła do zadziwiająco bałamutnych sformułowań. Mękarski w tych czasach zdradzał wyraźne cechy niepoprawnego grafomaństwa. Obaj ideolodzy „Słowa Polskiego” gmatwali polityczną linię pisma, w dużym stopniu niwelując pracowite wysiłki Kordysa, który starał się ją upowszechnić i uprzystępnąć społeczeństwu.

Poza tym jednak zespół redakcji składał się z ludzi wartościowych, normalnych, fachowych i miłych. Zespół nie był duży. Kiedy wszedłem w jego skład, redakcja „Słowa Polskiego” posiadająca swój własny budynek i drukarnię przy ul. Zimorowicza 15 — oprócz już wymienionych: Romana Kordysa, Wacława Mejbauma i Stefana Mękarskiego — składała się z Aleksandra Medyńskiego, Władysława Szenderowicza, Tadeusza Fabiańskiego, Stanisława Starzewskiego, Jana Zahradnika, Tadeusza Bertonięgo, Stanisława Kupczyńskiego i Władysława Kozickiego. Redaktorem odpowiedzialnym był Wilhelm Antoni Skrzyczyński, dyrektor drukarni, a administratorem Galiński. Jako wydawca figurował Władysław Kucharski. Publicystą politycznym pisma, choć nie członkiem re-

dakcji, był w tym okresie także Władysław Świrski, nie należący do grupy Mejbauma i Mękarskiego i reprezentujący w piśmie skrzydło Stanisława Grabskiego. Pozostawało ono w niedwuznacznej opozycji w stosunku do różnych nowinek w stanowisku partii głoszonych zarówno przez Dmowskiego, jak na gruncie lwowskim przez tak zwany „Zespół Stu” i jego rzeczników w redakcji.

Najstarszym dziennikarzem był wśród nas Władysław Szenderowicz nazywany „tatuńciem”. Potomek lwowskiej rodziny mieszczańskiej należał do dziennikarzy bardzo starej daty, mieszkał na Łyczakowie i pamiętał zamierzchłe okresy lwowskiego dziennikarstwa. To on opowiadał nam młodym, że w latach jego młodości na placu Mariackim pasażerowie, a na dachu pokrytym gontami późniejszego reprezentacyjnego hotelu George’a można było, opierając się z chodnika łokciami, pisać listy miłosne. Po depesze, nadchodzące wtedy pociągami z Wiednia, Szenderowicz jeździł na dworzec lwowski „fiakrem”, to jest dorożką konną, w ten sam sposób dowoził je do redakcji, po czym depesze tłumaczono na język polski. Najważniejsza nawet wiadomość przy tej metodzie ukazywała się co najmniej z 48-godzinnym opóźnieniem. Brat naszego pocziwego „tatuńcia” był jednym z dyrektorów wydawnictwa „Wieku Nowego”, ale niewiele z tego tytułu płynęło korzyści i blasku dla dyrektorskiego brata. Szenderowicz od niepamiętnych lat prowadził w redakcji reporterkę różnego typu, a ponadto posiadał monopol na wszelkiego rodzaju walne zgromadzenia spółek akcyjnych i kas oszczędności, które dla sprawozdawców prasowych łączyły się z mniejszymi lub większymi dodatkowymi dochodami. Szenderowicz był już zaawansowany w latach, a jego współpraca w tym czasie posiadała charakter raczej synekury. Od czasu do czasu organizowano mu jubileusze pracy dziennikarskiej, połączone z przyjęciem towarzyskim, przemówieniami i tradycyjnymi toastami. Był postacią charakterystyczną we Lwowie, posiadał swoje słabości, ale także zalety, za które wszyscyśmy go cenili i szanowali.

O atmosferze obowiązującej zarówno w ówczesnym środowisku, jak również w samej redakcji „Słowa Polskiego” świadczyć może incydent, jaki stał się tematem rozwlekłej sprawy honorowej pomiędzy zespołem „Słowa Polskiego” a redaktorem naczelnym „Gazety Porannej” Jerzym Konarskim. „Gazeta” umieściła jakiś artykuł, którym poczuli się obrażeni członkowie redakcji „Słowa”, wobec czego wylosowali spośród siebie Władysława Szenderowicza i posłali Konarskiemu zastępców honorowych, domagając się od niego satysfakcji. Działo się to na krótko przed moim przyjazdem do Lwowa, nie znam więc dokładnie szczegółów tego zatargu, ale pamiętam, że zakończony został protokołem dwustronnym, w którym Konarski oświadczył, że ogłaszając artykuł nie miał zamiaru

obrażać osobiście żadnego z członków redakcji „Słowa”. Protokół został ogłoszony na łamach obu pism. To curiosum obyczajowe, przechodzące do porządku nad zasadą wolności słowa na łamach prasy i naruszające swobodę wypowiedzi przy pomocy ścigania przeciwnika sądami honorowymi za jego artykuły, świadczyło dość przejrzyście o staroświecczyźnie obowiązującej jeszcze w tych latach.

Mania spraw honorowych nigdy jednak nie opuszczała naszej redakcji. Ich inspiratorem był m. in. sekretarz redakcji Stanisław Kupczyński, który w ten sposób rozumiał swoje główne obowiązki. Wśród innych zatargów głośna stała się sprawa konfliktu z sanacyjnym „Dziennikiem Lwowskim” pozostającym wówczas pod redakcją red. Lutmana. Na ulicznej wywieszce „Słowa”, przeznaczonej do celów reklamowych dla kiosków i wywieszanej z treścią tytułów bieżącego numeru, ukazał się pewnego dnia tytuł: *Posel Miedziński prowokatorem*. Bogusław Miedziński należał do czołowych postaci obozu piłsudczyków. Nazajutrz w „Dzienniku Lwowskim” ogłoszono notatkę, w której organ sanacji zrewanżował się równie nieuprzejmym, jak mało wybrednym tytułem: *Kanalie*, która to obelga wymierzona została z kolei pod adresem redakcji „Słowa”. Oczywiście sprawę skierowano do sądu honorowego, który wkrótce wydał wyrok salomonowy. Ponieważ redakcja „Słowa” przyznała, że epitet pod adresem Miedzińskiego na wywieszce ukazał się wskutek przeoczenia zmęczonego pracą redaktora nocnego Tadeusza Fabiańskiego, a redakcja „Dziennika” wycofała wobec tego swoją obelgę pod naszym adresem, sąd zwrócił tylko uwagę, aby dziennikarze kierowali się umiarem w wytaczaniu wzajemnych skarg i nie nadużywali gwałtownych określeń. Protokół podpisali ze strony „Słowa” Nowak-Przygodzki i Kmietowicz, ze strony „Dziennika” późniejszy premier Leon Kozłowski i Mendys.

Reporterem wydarzeń notowanych w policyjnych kronikach był Aleksander Medyński, z zawodu profesor gimnazjalny, ale od lat przede wszystkim dziennikarz. Był zamiłowany w tej swojej specjalności i przez całe życie poświęcał jej całą pasję zawodową. Ulubionymi tytułami notatek kronikarskich, nadużywanych przez Medyńskiego w wypadkach często nie odpowiadających treści, były znane dwa powiedzenia: „*Se non e vero, e bene trovato*” i „*Cherchez la femme*”. Nie był młody i młodszy od niego reporterzy z innych pism, bardziej ruchliwi i zapobiegliwi, ubiegali go często w informacjach albo w różnych szczegółach. Medyński był wtedy niepokieszony i podejmował próby zrehabilitowania swoich osiągnięć. Ta konkurencyjna walka wypełniała mu całe lata, a my, młodszy w redakcji, korzystaliśmy z okazji, aby w różnych, zawsze życzliwych i żartobliwych formach, niepokoić naszego starszego kolegę wymówkami z powodu luk w jego informacjach reporterskich. Praw-

dziwy jednak dramat powodowało pominięcie wiadomości dostarczonej późną nocą przez Medyńskiego, a nie umieszczonej w numerze po prostu z braku miejsca na kolumnie przeznaczonej na kronikę codzienną. Okazywało się zawsze — wedle relacji naszego niepokieszonego sprawozdawcy — że była to najważniejsza wiadomość, jaką udało mu się kiedykolwiek złowić w jego dziennikarskiej karierze. Wiedzieliśmy, że jest to przesada i wyczekiwaliśmy wtedy na następną okazję, aby usłyszeć te same wyrzuty Medyńskiego kierowane pod adresem nocnych redaktorów, głównych sprawców tych niespodzianek. Medyński zmarł we Lwowie w r. 1940.

Redaktorami nocnymi byli Tadeusz Fabiański i Stanisław Starzewski. Pierwszy pochodził ze Stryja i wywodził się z Legionów, ale spędził praktycznie niemal całą pierwszą wojnę w niewoli, ponieważ los sprawił, że w pierwszych tygodniach wojennych działań, dostał się w ręce wojsk rosyjskich. Długi pobyt w Rosji wywarł na naszym koledze znaczny wpływ i Fabiański pozostawał wtedy pod ogromnym wrażeniem literatury rosyjskiej, już komunistycznej. Był starszy od nas, ale tworzyliśmy z nim i ze Starzewskim nierozłączną trójkę redakcyjną. Starzewski, odmiennie niż Fabiański, był równocześnie działaczem politycznym wśród młodzieży i odegrał znaczną rolę w życiu młodzieżowym Politechniki Lwowskiej, której zresztą nie ukończył i pozostał w zawodzie dziennikarskim. Oba zajmowali się techniczną stroną pisma, ograniczając w tym czasie swoje zainteresowania w dziedzinie redagowania dziennika głównie do depeesz. Węzły naszej przyjaźni przetrwały długie lata wojenne. Oba w czasie drugiej wojny znaleźli się poza granicami kraju. Fabiański powrócił z Wielkiej Brytanii do Polski, pracując przez jakiś czas w Polskim Radio we Wrocławiu; w Polskim Radio pracował zresztą już przed wybuchem wojny, zaangażowany po okresie „Słowa Polskiego” do zespołu lwowskiej stacji radiowej. Starzewski, po latach spędzonych w Związku Radzieckim, wycofując się po wojnie z dziennikarstwa, osiadł z rodziną w Londynie. W czasie drugiej wojny pełnił obowiązki dziennikarskie w II korpusie we Włoszech.

Trzecim młodym kolegą redakcyjnym był Tadeusz Bertoni, zdolny ekonomista, czynny i wybitny działacz polityczny, a równocześnie prokurent Banku Związku Spółek Zarobkowych we Lwowie. W „Słowie” prowadził dział gospodarczy w sposób umiętny i żywy. Niestety, świetnie zapowiadająca się karta Bertoniego rychło zamknęła się w wyniku smutnej sprawy, w jaką nasz przyjaciel zaplątał się w sprawach finansowych. Następstwem tej lekkomyślności było wycofanie go z całej działalności politycznej, dziennikarskiej i zawodowej. W czasie drugiej wojny Bertoni jako pracownik „Orbisu” w Warszawie został aresztowany przez hitlerowców i rozstrzelany. Pomimo błędu, jaki popełnił w młodości,

pozostawił wśród nas życzliwe i serdeczne o sobie wspomnienie jako inteligentny i rzutki, pełen inicjatywy towarzysz pracy.

Sekretarzem redakcji był Stanisław Kupczyński, dziennikarz chyba z przypadku, a nie z powołania i zamiłowania, późniejszy adwokat, pozbawiony nerwu, raczej technik redakcyjny, którego rzeczywistą pasją była sztuka fechtowania się na szable uprawiana nawet w pokoju redakcyjnym. Zawsze odnosiłem wrażenie, że współpraca w redakcji była u niego życiowym nieporozumieniem. Był raczej trudny w pożyciu i w późniejszym okresie zniknął mi zupełnie z horyzontu.

Uroczym natomiast towarzyszem pracy redakcyjnej był Jan Zahradnik, wybitny poeta wielkiego talentu i zdolności, autor pięknych, urzekających wierszy, ale opanowany nałogiem alkoholu, który go rychło zgubił. Zahradnik, chory na płuca, zmarł we wczesnych latach swojej twórczości. Przedtem jednak pracował w naszej redakcji, gdzie pisał recenzje teatralne, a oprócz tego krótkie wierszyki satyryczne podpisywane „Janek”, w których niemiłosiernie chłostał lwowską kołtunerię. O znanym w tym czasie prezesie szynkarzy lwowskich, a równocześnie właścicielu popularnego szynku na rogu ul. Sokoła i Chorążczyzny — Maksymowiczu, który był jednym z radnych miejskich, Zahradnik pisał złośliwie:

Na radę chodzi pilnie i milczy niechętnie.
Gdy mówi, drżą ze zdumienia ratuszowe ściany.
Pytają niedyskretnie i rzekłbyś natrętnie:
Co? Goście jego piją, a on jest pijany?
Panie i panowie! Nie wiercie w tym wypadku nieżyczliwym ustom.
Bo nie ma alkoholu w żadnej jego mowie,
jest tylko wymieszany groch z kapustą.

Zahradnik nie szczędził swej satyry także sprawom politycznym. Po ogłoszeniu nowej ustawy prasowej przez rząd pomajowy, nasz satyryk ogłosił wierszyk, w którym pisał:

Jestem jak bydlę pociągowe,
nad karkiem buty mam i baty.
Jestem jak pies! Kaganiec noszę,
szczęście, że bez psiej mam go opłaty.

Władysław Kozicki, profesor uniwersytetu lwowskiego, autor znakomych recenzji z wystaw malarskich i gorszych z teatrów, był równocześnie jeszcze jednym autorem artykułów politycznych, pozbawionym jednak jakiegokolwiek nerwu i temperamentu publicystycznego. Kozicki w gronie pisarzy politycznych naszej redakcji reprezentował typ pisarza szczególnego, zabierającego głos głównie wówczas, gdy wskutek wewnętrznych rozbieżności wśród innych pisarzy redakcyjnych, należało szpalte przeznaczoną na artykuł wstępny wypełnić określoną ilością

czcionek nie wyrażających w treści żadnej określonej konkluzji. Kozicki był w tej dziedzinie niedościgły.

Ale „Słowo Polskie” skupiało poza tym szeroki wachlarz piór znanych i cennych. W owym okresie, na przełomie 1926/1927 r., autorami przewijającymi się na szpaltach pisma byli: Roman Dmowski, Zygmunt Wasilewski, Stanisław Wasylewski, Kornel Makuszyński, F. A. Ossendowski, Tadeusz Lehr-Spławiński, Ostap Ortwin, Karol Irzykowski, Maryla Wolska, Stanisław Grabski, Wilhelm Bruchnański, Artur Schroeder, Władysław Witwicki, Mieczysław Opalek, Jan E. Skiński, Roman Rybarski, Leon Piniński, Stanisław Kulczyński, Tadeusz Opiola, Ignacy Chrzanowski, Rita Rey, Władysław Tarnawski, Michał Rolle, Adolf Chybiński, Kazimierz Bartoszewicz, Amelia Łączyńska, ks. J. Pannaś, Ludwik Jaxa-Bykowski, Stanisław Pieńkowski, Edmund Libański, Józef Białynia-Chołodecki, Kazimierz Brończyk, z młodszych — Tadeusz i Mieczysław Piszczkowscy, Czesław Lechicki, Henryk Batowski, Janina Królińska, Antoni Deryng, Jerzy Drobnik i inni. W ciągu roku 1927 ogłaszali artykuły również Adam Grzymała-Siedlecki, gen. Tadeusz Rozwadowski, Stanisław Szurlej, Jadwiga Gamska, Adolf Nowaczyński, prof. Adam Fischer, Kazimiera Iłakowiczówna, prof. Stanisław Lempicki, Jan Parandowski, prof. Franciszek Smolka, Beatrycze Żukotyńska, prof. Mścisław Wartenberg. Recenzje muzyczne pisał Witold Friemann, recenzje operowe Adam Mitscha, ogłaszał artykuły Feliks Teodorowicz i Ferdynand Szczurkiewicz. Poseł Marceli Prószyński, nieprzejednany wróg Ukraińców, również korzystał z łam pisma do r. 1927, w którym władze szkolne przeniosły go służbowo do Dżisny.

W odcinku drukowano powieść rosyjskiego pisarza Borysa Pilniaka *A kiedy lody pękają* w tłumaczeniu Ireny Łozińskiej, pięknej, uroczej pani, wdowy po przemysłowcu naftowym, która w latach młodości jeździła po Lwowie czwórką białych koni. Charakterystyczną postacią w redakcji był Rudolf Wacek, kierownik działu sportowego, a w owych latach jeden z najbardziej popularnych ludzi we Lwowie dzięki roli, jaką odgrywał właśnie w sporcie. Jego pomocnikami byli W. Rzepka i W. Humen. Rudolf Wacek był opętany sportem. W niedzielę po południu, przybiegając bezpośrednio z rozegranych meczów, wychodził na balkon redakcyjny i do oczekujących tłumnie kibiców sportowych wygłaszał krótkie, płomienne przemówienia o przebiegu meczu i jego wynikach, po czym ręcznie pisał komunikat i osobiście wywieszał go w oknach kantoru. Sport uważał za centralną dziedzinę życia. Dzięki Wackowi sport we Lwowie zdobył tysiące zwolenników i entuzjastów. Wacek, nazywany przez nas profesorem, był ułomny i utykał na jedną nogę. Starszy od nas, cieszył się naszą nieograniczoną sympatią, ale często stawał się przedmiotem różnych żakowskich figlów, jakie starszemu redaktorowi

płacali młodszy koledzy. Wacek przyjmował je zawsze z humorem i wyrozumiałością. Należał do najbardziej z redakcją związanych ludzi.

Mieliśmy w redakcji woźnego Stanisława, który zajmował wyjątkową pozycję. W czasie nieobecności redaktorów, szczególnie poranną porą, występował wobec zgłaszających się klientów i autorów w imieniu redakcji, uspokajając ich łagodnie i mówiąc przez telefon: „rozpatrujemy właśnie Pański artykuł i prawdopodobnie ocenimy go życzliwie”. Funkcje swoje Stanisław wykonywał z całą godnością i powagą, uważając się słusznie za integralną część zespołu redakcyjnego. Później przeniósł się do Miejskiej Kasy Oszczędności, gdzie równie godnie pełnił obowiązki woźnego.

Stanowiliśmy zespół zwarty i ambitny. Łączyły nas więzy solidnej, koleżeńskej współpracy. Obejmowały one nie tylko współpracowników redakcji, ale również drukarni. Zecerzy „Słowa Polskiego” czuli się tak samo odpowiedzialni za pismo, jak my i wzajemne stosunki między redakcją i drukarnią odznaczały się duchem wzorowego współdziałania. Istniał natomiast stały, jak zwykle, konflikt z administracją, której dyrektor, Galiński, był człowiekiem zgryźliwym i pozbawionym szerszej wyobraźni. Wśród zecerów było dwu wyjątkowo uzdolnionych braci Kalinowskich, którym można było, w razie potrzeby, w pośpiesznym tempie dyktować tekst do maszyny i mieć gwarancję, że będzie złożony bez jednego błędu. Zecerzy w tych czasach składali teksty z rękopisów. Redakcje nie używały maszyn do pisania i zecer znał doskonale wszystkie zawilosci rękopisu, często pokreślonego i przypominającego w praktyce raczej hieroglify. Nie stanowiło to żadnych przeszkód w dokładnym i niemal bezbłędnym wykonaniu składu. Zecerzy posiadali silny związek zawodowy, który zapewniał im wysokie stawki. W stosunku do przeciętnej płacy współpracowników redakcji, płace zecerów były wyższe co najmniej dwu lub trzykrotnie. Zaliczali się oni wśród klasy robotniczej do grupy uprzywilejowanej i świetnie wynagradzanej. Reprezentowali element wysoko wartościowy i wybitnie inteligentny, wyróżniający się zamiłowaniem do stylu cechującego cyganerię. Świeże jeszcze były tradycje z poprzedniego pokolenia, kiedy redaktorzy pism rekrutowali się często spośród zecerów. Bywali wśród nich także wybitni przywódcy polityczni. We Lwowie naszym kolegą i współpracownikiem „Wieku Nowego” był syn jednego z takich zecerów-działaczy Leon Daniluk; ojciec jego odegrał dużą rolę w lwowskim ruchu socjalistycznym i był redaktorem socjalistycznej „Pracy”. Jego syn pozostał echem tamtych czasów i należał do niemal archaicznego typu dziennikarzy starej epoki. Postęp wyrażał się w aparacie fotograficznym, jakiego Daniluk używał w swoich zajęciach reporterskich. Było to pudło ogromnych rozmiarów ustawiane każdorazowo na ogromnym trójnogu, po czym Daniluk nakrywał

je czarną płachtą regulując odległość, a ofiary tych czynności reporterskich musiały długo i cierpliwie oczekiwać na zakończenie przygotowywanych ceremoniałów. W końcu nasz kolega wzywał do przyjemnego wyrazu twarzy i dokonywał zdjęcia. Tę praktykę „udoskonalonej” służby reporterskiej Daniluka pamiętam z całego okresu mojego pobytu we Lwowie. Ulegano jej głównie dlatego, aby nie robić przykrości naszemu koledze.

Korektorką „Słowa” w tym czasie była pani Medycka, starsza, cicha i siwa pani, wdowa po zasłużonym administratorze „Słowa” z okresu Z. Wasilewskiego Zygmuncie Medyckim, najstarsza wśród całej redakcji, przesiadująca godzinami nad szpaltami w małym, ostatnim pokoiku redakcji, w którym wieczorami pracowali redaktorzy nocni. Nasza korektorka pełniła wśród nas młodych rolę czcigodnej matrony i seniorki, wobec której zachowywaliśmy respekt i należny szacunek, chociaż starowinka nie zawsze zdawała się mieć dość siły, aby podolać ciężącym na niej wyczerpującym obowiązkom. Dotrwała jednak przy nich bodaj do samego końca.

W redakcji „Słowa” podjąłem od razu ożywioną inicjatywę. Pierwsze miesiące zapisałem różnymi pomysłami, uzyskując znaczne sukcesy. Rozpocząłem od Targów Wschodnich, które w roku 1926 otwierały szósty rok swojego istnienia. Była to impreza zaplanowana z szerokimi ambicjami jako gospodarczy punkt wymiany pomiędzy Wschodem i Zachodem na wzór dawnych tradycji Lwowa leżącego na tradycyjnym szlaku handlowym. Kardynalnym jednak warunkiem realizacji tych zamysłów mógł być tylko wielki handel ze Związkiem Radzieckim, którego, jak wiadomo, nigdy w ciągu międzywojennego dwudziestolecia w poważnych rozmiarach nie nawiązano. Zadecydowało to o losie Targów Wschodnich, które z wielkiej inicjatywy gospodarczej zamieniły się wkrótce na jarmark prowincjonalny, pozbawiony niemal wszelkiego znaczenia w handlu zagranicznym Polski i ograniczony do corocznej atrakcji lokalnej Lwowa typu propagandowego. Wszelkie wysiłki, aby zmienić ten charakter Targów, nie dały żadnego rezultatu. Zamiast stać się pomocą, zaciążyły one Lwowowi jako nieznoszny, kosztowny i deficytowy ciężar. Nieustępliwym rzecznikiem i patriotą Targów był ich dyrektor Henryk Grosmann, z którym przyjaźniłem się i w ramach propagandy czyniłem różne próby, aby mu pomóc. Niestety, okazały się one daremne. Zanim jednak można było dojść do tego wniosku, dokładaliśmy w ciągu lat wielu starań, aby uświetniać Targi Wschodnie rozłożone na Placu Powystawowym.

Z kolei odbyłem obszerny wywiad z lekarzem lwowskim dr. K. Sędzimirem na tak egzotyczny wówczas temat, jak Chiny, ponieważ mój rozmówca powrócił właśnie z Szanghaju. Wkrótce ukazał się wywiad z ministrem rolnictwa Raczynskim.

Sensacją jednak dnia stał się dopiero wywiad z b. ministrem spraw wojskowych w czasie zamachu majowego gen. J. Malczewskim, który świeżo powrócił do Lwowa wypuszczony z Antokolu wileńskiego, gdzie po zamachu został osadzony razem z gen. Tadeuszem Rozwadowskim. Kiedy zgłosiłem się do Malczewskiego, w pierwszej chwili nie ujawnił on ochoty do rozmowy z przedstawicielem prasy. Przekonałem go jednak, że wywiad prasowy z b. dowódcą rządowych oddziałów wiernych Prezydentowi jest koniecznością chwili. Wówczas Malczewski poprosił mnie, abym mu wywiad napisał. Skorzystałem z tej niezwyklej propozycji i opierając się na różnych szczegółach, przekazanych mi przez b. ministra, opracowałem jego odpowiedzi, które przedstawiłem Malczewskiemu. Aprobował je bez żadnych zmian. Wywiad zawierał bardzo stanowcze i ryzykowne oświadczenia. Malczewski zrobił wtedy na mnie wrażenie człowieka ograniczonego.

W kilka miesięcy później skorzystałem z przyjazdu do Lwowa, również zwolnionego z Antokolu, gen. Rozwadowskiego i zwróciłem się do niego także o wywiad prasowy. Generał przyjął mnie życzliwie w domu swojej rodziny i odbyłem z nim dłuższą rozmowę, po której — za jego zgodą — opublikowałem jej treść. Ten wywiad odbił się znacznym echem i zawarte w nim wypowiedzi gen. Rozwadowskiego były tematem artykułów redakcyjnych w różnych pismach.

Inną moją inicjatywą prasową były wywiady dokonane z uczestnikami 20-osobowej wycieczki dziennikarzy czechosłowackich. Rozmów z nimi dokonałem w pociągu zdążającym z wycieczką do zagłębia naftowego w Borysławiu. Wywiadów udzielili mi wówczas sen. Jiří Pilich, prezes Syndykatu Dziennikarzy Czechosłowackich i redaktor „Českeho Slova”, Vincenc Červinka, redaktor „Narodnich Listův”, Vaclav Svihovsky z Central European Press, Olga Fastrova z „Narodni Policyka”, Fr. Votruba z „Slovenski Policyka” z Bratysławy, Jaromir Kopecky z „Českeho Slova” i Adolf Czerny, delegat czechosłowacki ministerstwa spraw zagranicznych i redaktor „Slovenskiego Přehladu”. Tematem wywiadów były problemy współpracy i przyjaźni polsko-czechosłowackiej. Pamiętam, że po dokonaniu rozmów, jeden z uczestników wycieczki zwrócił się do mnie z zapytaniem, ile żądam honorarium za odbycie i ogłoszenie wywiadów. Kiedy oświadczyłem, że odbywam je bezinteresownie dla użytku mojego dziennika, czechosłowaccy dziennikarze nie mogli wyjść ze zdumienia, że w prasie polskiej świadczy się takie uprzejmości, w przeciwieństwie do prasy francuskiej czy także czeskiej, w której wywiad z przedstawicielem zagranicznym musi być opłacony przez rozmówcę do rąk dziennikarza odbywającego rozmowę. Nie wiedziałem o tym zwyczaju, ale byłem bardzo zadowolony, że nasi goście przekonali się o innym stylu i obyczaju w pracy dziennikarza polskiego.

21 października 1926 r. został zamordowany przez tajną, bojową organizację nacjonalistów ukraińskich kurator szkolny we Lwowie Stanisław Sobiński. Zamachu dokonano wczesnym wieczorem, na ulicy Królewskiej, kiedy Sobiński z żoną zdążył do domu w Bursie Grunwaldzkiej. Sprawcy zbiegli bez śladu, korzystając z zapadającego mroku i niezabudowanych wzgórz, które znajdowały się w tej części miasta. Byłem w krytycznej chwili właśnie w redakcji, kiedy odezwał się telefon i ktoś z przyjaciół pisma, mieszkający w pobliżu miejsca zbrodni, zawiadomił o niej. W kilka minut później byłem już na ul. Królewskiej jako pierwszy przedstawiciel prasy lwowskiej. Zamordowany kurator leżał jeszcze na bruku. Policja ustalała dopiero stan faktyczny. Nie było czasu do stracenia. Po zaznajomieniu się z najważniejszymi okolicznościami zamachu wróciłem do redakcji, obmyślając po drodze sposób, w jaki można wskazać przynajmniej na środowisko sprawców. Nie było na miejscu żadnych jego śladów, natomiast było całkowicie pewne, że jest to jeszcze jeden zamach nacjonalistów ukraińskich, którzy nie po raz pierwszy podejmowali tego rodzaju akty terroru przeciwko reprezentantom polskiej organizacji państwowej we Lwowie. Postanowiłem napisać, w pierwszej wiadomości ogłoszonej w wydaniu nadzwyczajnym, że żona zamordowanego kuratora, idąc z mężem, słyszała rozmowę dwu osobników, którzy idąc za swoją ofiarą i dokonując zamachu, mówili między sobą po ukraińsku. W tej wersji wiadomość została podana. Na drugi dzień policja ustaliła już inne, właściwe okoliczności, wskazujące na pochodzenie zamachowców i szczegół dotyczący rzekomej rozmowy sprawców zamachu, zresztą zaprzeczony nazajutrz przez wdowę po Sobińskim, stał się zbyteczny. Odegrał jednak swoją rolę w oświeceniu tła zamachu w pierwszej, najważniejszej chwili. Sprawcami okazali się rzeczywiście nacjonaści ukraińscy, chociaż odbyty później proces przeciw nim stał się wielką pomyłką. Sądono bowiem i skazano sprawców podstawionych dla zmylenia śladów przez organizację terrorystyczną, a nie rzeczywistych, którzy zbiegli. Ale to należy do późniejszego okresu.

Następnym wywiadem, który uzyskał duże echo, była rozmowa z prof. Smal-Stockim, jednym z najwybitniejszych nadnieprzańskich przedstawicieli ukraińskich nacjonalistów zajmujących wtedy szczególną pozycję w polityce ukraińskiej. Smal-Stocki należał do grupy Petlury i odegrał znaczną rolę w zawieraniu jego układu z Piłsudskim. Reprezentował on osobiście — odmiennie niż Ukraińcy galicyjscy — ideę porozumienia i współdziałania z Polską na gruncie stanowiska antyradzieckiego. Smal-Stocki wykładał w tych latach na Uniwersytecie Warszawskim i po jego przyjeździe do Lwowa zgłosiłem się z prośbą o wywiad prasowy dla „Słowa Polskiego”. Smal-Stocki odmówił wprawdzie wywiadu, ale zgodził się na rozmowę z prawem jej streszczenia bez auto-

ryzacji. Rozmowę odbyłem w hotelu George'a, notując dokładnie jej przebieg, po czym rozmowę ogłosiłem. „Wolno stwierdzić — powiedział m.in. mój rozmówca — że tych, którzy uznają Polskę, chcą jej rozwoju — jest w ukraińskich szeregach znakomita większość. Czynnikiem, który reprezentuje najwybitniej ideę znacjonalizowania wschodu, jest Polska i my wszyscy, którzy do tej idei dążymy, wiemy, że tylko w silnej Polsce leży nasza przyszłość. To jest powszechna opinia u nas. Uznają ją nawet ci, którzy na codzień mają co innego w słowie i piórze dla świata, a co innego mówią w cztery oczy, między sobą”. Ogłoszona rozmowa spowodowała olbrzymie poruszenie w nacjonalistycznych kołach ukraińskich we Lwowie, które naparły na Smal-Stockiego, aby ją zdezwauował. Pod tym wpływem zwrócił się on do Kordysa, aby zamieścił notatkę stwierdzającą, że tekst rozmowy ogłoszony w „Słowie” nie był ścisły. Ponieważ rzeczywiście nie była ona autoryzowana i nie posiadała charakteru wywiadu, redakcja takie oświadczenie złożyła.

Odbyłem wtedy jeszcze jeden wywiad z przedstawicielem społeczeństwa ukraińskiego Włodzimierzem Baczyńskim, reprezentantem tzw. starorusinów. Ich konflikt z nacjonalistami ukraińskimi polegał na tym, że starorusini uważali się za odłam etniczny narodu rosyjskiego i odmawiali uznania odrębności narodowej Ukraińców. Różnica ta posiadała rzeczywiście bardzo zasadniczy charakter i Baczyński oraz starorusini byli przez nacjonalistów ukraińskich piętnowani jako zdrajcy. W posiadaniu „starorusinów” we Lwowie znajdował się bogaty i zasobny Dom Narodowy. Baczyński w wywiadzie wyłożył obszerne stanowisko staroruskie, poddając krytycznej ocenie politykę ukraińskich kół nacjonalistycznych skupionych w Ukraińskim Narodowo Demokratycznym Objednaniu (UNDO), największej i najbardziej wpływowej partii ukraińskiej w Małopolsce Wschodniej. W niewiele ponad pół roku potem Baczyński popełnił samobójstwo, podobno w następstwie ciężkiego konfliktu z nacjonalistami ukraińskimi.

W tym również czasie ogłosiłem pierwsze, podpisane pełnym nazwiskiem, artykuły omawiające działalność Związku Obrony Ziemi Zachodnich i sprawy Śląska. Wywiady sygnowałem tylko pierwszymi literami imienia i nazwiska, a inne materiały gwiazdką ujmowaną w nawias.

Po raz pierwszy w tym okresie zetknąłem się także z gen. Władysławem Sikorskim. Był on wówczas dowódcą okręgu wojskowego we Lwowie, ciągle na tym stanowisku utrzymywany przez Piłsudskiego, pomimo że nie odmawiając wprawdzie, uchylił się jednak od udzielenia pomocy wojskom marszałka w czasie zamachu majowego i pomimo że powszechnie było wiadomo o wzajemnie niechętnym stosunku obu partnerów. Postanowiłem dlatego uzyskać wywiad prasowy również od Sikorskiego, co byłoby pierwszorzędną wówczas sensacją nie tylko pra-

sową, ale przede wszystkim polityczną. Sikorskiego jednak nie znałem, chociaż urzędował w gmachu dowództwa okręgu przy placu Bernardyńskim. Należało znaleźć drogę do niedostępnego dostojnika. Ustaliłem, że z Sikorskim spowinowacony jest kapelan lwowskiej Szkoły Kadetów ks. Władysław Pilin. Nawiązałem z nim kontakt i ujawniłem mu mój zamiar. Ks. Pilin, rozkochany w swoim głośnym, wybitnym krewniaku, obiecał mi pomóc. Moje spotkania z kuzynem Sikorskiego odbywały się w okolicznościach niemal konspiracyjnych, bo w zacisznych korytarzach kościoła Bernardynów. Pertraktacje trwały dość długo. Pewnego razu ks. Pilin doręczył mi niespodziewanie książkę Sikorskiego *Nad Wisłą i Wkrą* z osobistą dedykacją autora dla mnie. W końcu doszło do spotkania z generałem. Zostałem upoważniony do zjawienia się w gabinecie generała, do którego droga prowadziła przez pokój, w którym urzędował — przysłany wówczas z Warszawy — płk Adam Koc, jako „opiekun” Sikorskiego z ramienia Piłsudskiego. Ks. Pilin zwrócił mi uwagę na tę okoliczność, ponieważ oczywiście kontakt generała z przedstawicielem endeckiego „Słowa Polskiego” nie mógł ująć uwagi obserwatora przeznaczonego m.in. właśnie do takich celów. Sikorski nie odmówił wywiadu, ale zaproponował odroczenie jego terminu ze względu na to, że jako dowódca okręgu pozostawał ciągle w służbie i nie mógł w tych warunkach udzielać wywiadów na tematy polityczne i oceniać publicznie zamachu majowego. Motywy były przekonujące, tym bardziej że gen. Sikorski spodziewał się rychłego zwolnienia z armii i wówczas — jak twierdził — był gotów do rozmowy ze mną jako przedstawicielem prasy. Postanowiłem być cierpliwy. Gen. Sikorski został zwolniony ze stanowiska we Lwowie dopiero po dłuższym czasie, ale Piłsudski zatrzymał go w dyspozycji ministra spraw wojskowych, to jest swojej własnej, bez przydziału służbowego. Sikorski wyjechał wkrótce do Paryża. Przypadek zrządził, że bawiąc bodaj w następnym roku w Krakowie, dowiedziałem się tam, że generał powrócił tego dnia właśnie z Francji i zamieszkał w Hotelu Francuskim. Zgłosiłem się do Sikorskiego ponawiając prośbę o wywiad. Sikorski, już w cywilnym ubraniu, wymówił się także i tym razem, tłumacząc się nadal wiążącym go stosunkiem do ministra spraw wojskowych. Zrezygnowałem wobec tego z dalszych zabiegów i więcej już Sikorskiego w życiu nie spotkałem.

Ale echa tej sprawy odezwały się w wiele lat później, na kilka miesięcy przed wybuchem drugiej wojny. Byłem wówczas korespondentem warszawskim „Dziennika Polskiego” we Lwowie i rozwinąłem m.in. ożywioną kampanię przeciw Sikorskiemu, chociaż raczej przeciw Frontowi Morges. Niemal codziennie na łamach lwowskiego pisma ukazywały się moje informacje dotyczące tej sprawy i roli w niej Sikorskiego. Pewnego dnia w „Kurierze Warszawskim” ukazał się list gen. Sikorskiego,

w którym oświadczał, że prowadzę przeciw niemu kampanię prasową, biorąc odwet za odmowę w r. 1926, kiedy to miałem zgłaszać mu rzekomo usługi i proponować współpracę. Muszę przyznać, że byłem zdumiony małostkowością generała, który, aby się obronić, użył tego rodzaju łatwego i jednak niesumiennego chwytu. Sikorski musiał zdawać sobie sprawę, że popełnia w tym wypadku oczywistą nieścisłość i mija się z prawdą, ponieważ moja inicjatywa lwowska jako dziennikarza dotyczyła wyłącznie wywiadu prasowego i o żadnej współpracy typu politycznego ani innej nie było wtedy nigdy mowy. Byłem wówczas bardzo młodym człowiekiem, nie zajmującym żadnej większej pozycji politycznej, chociaż znanym już jako dziennikarz i działacz z okresu krakowskiego i jakakolwiek oferta współpracy z tego rodzaju osobistością, jak Sikorski byłaby wtedy z mojej strony wręcz absurdalna. O gen. Sikorskim miałem w tym czasie od dawna wyrobioną — słuszną czy niesłuszną — opinię, która nie była przychylna. Nie był on nigdy, w żadnym okresie mego życia, bohaterem mojego romansu ani ideałem kształtującym moje poglądy czy zamierzenia. Nie stał się nim również w czasie drugiej wojny, kiedy stał u szczytu swego powodzenia, był premierem rządu, naczelnym wodzem i centralną postacią owych czasów, do której garnęli się zarówno jego wielbiciel, jak przeciwnicy. W skromnej roli znajdowałem się wtedy pod okupacją, podejmując samodzielnie wysiłkiem różne inicjatywy, chociaż łatwo można było korzystać wówczas z hojnej protekcji krajowych ośrodków podlegających dyspozycji premiera rządu londyńskiego. Odpowiedziałem generałowi na łamach „Kuriera Porannego” również listem publicznym, wykazując niefortunny charakter jego obrony. Na tym mój konflikt z gen. Sikorskim wyczerpał się, a ja w dalszym ciągu kontynuowałem swoją kampanię przeciw Frontowi Morges [...].